

**Bractwo Świętego Józefa**  
**Spotkanie Odpowiedzialnych online**  
**27 marca 2021**

Piosenki: *Bello amore [Piękna miłość]*  
*Canzone di San Giuseppe [Piosenka Świętego Józefa]*

**Ksiądz Michele**

Rozpoczynamy wspólnie ten gest. Dopiero co obchodziliśmy Uroczystość Świętego Józefa. Zechcimy i Jego poprosić, u wrót Wielkiego Tygodnia, aby praca, którą dziś wieczór podejmujemy, była pożyteczna; jak również wszystkie uroczyste obchody razem wkrótce przeżywane. Abyśmy jeszcze głębiej weszli w to, co się nam wydarzyło i co wypływa ze Źródła - z tego, co w tych dniach obchodzić będziemy: ze śmierci Chrystusa i Jego Zmartwychwstania dla naszego zbawienia. Prośmy w modlitwie *Anioł Pański*, aby Matka Boża nam towarzyszyła i poprowadziła nas w głąb tej wielkiej Tajemnicy.

Na to Spotkanie Pytań, wybraliśmy jako temat ponowne przyjrzenie się temu, co wydarzyło się na październikowym Spotkaniu z księdzem Carrónem. Pragniemy się wspomóc i prześledzić drogę, którą tamto Spotkanie nam pozwoliło przebyć, jak również aby tym się podzielić. Oczywiście, ponieważ to moment spotkania odpowiedzialnych, nadarza się też okazja do pytań, uwag i refleksji, do przedstawienia wątpliwości i problemów dotyczących życia naszego Bractwa.

*W trakcie ostatniego Spotkania Pytań z księdzem Carrónem, wstrząsnął mną, po raz już nie wiem który, nacisk na konieczność weryfikacji w doświadczeniu. Toteż zaczęłam się siebie pytać, czym jest dla mnie autorytet, czy autorytet dotyczy mojego życia, czy jest mi potrzebny, pożyteczny dla mnie. Mijały dni i stopniowo zdawałam sobie sprawę, że dwadzieścia pięć lat w Ruchu nie starczyło, i dzięki Bogu, bym mogła orzec: teraz już wszystko rozumiem i jestem w stanie sama sobie poradzić. Spostrzegłam, że potrzebuję punktu odniesienia, na który patrzeć; ale nie jakiego bądź punktu. W tym momencie, dzisiaj, bardzo mnie uderzyła 'Piosenka Świętego Józefa'. I nasuwa mi się stwierdzenie: potrzebuję takiego punktu, w którym jest Tchnienie Wieczności, takiego miejsca, gdzie ja mogę oddychać. Chcę przytoczyć wam dwa epizody, w których lepiej zobaczyłam, dlaczego potrzebuję autorytetu. Pierwszy epizod, a sądzę, że każdemu z nas się to zdarza, dotyczy Spowiedzi. Z powodu „strefy czerwonej, pomarańczowej czy jakiejś tam”, znikają i księża. Więc, jeśli natkniesz się na kościół, gdzie czynny jest konfesor, korzystasz z okazji. W ten sposób wypowiadałam się u przypadkowego księdza, którego nie znałam. I zdałam sobie sprawę, że, w obliczu tak poważnej sprawy jak Spowiedź, autorytet jeszcze dobitniej objawia się jako fakt obiektywny. Co oznacza, że nie trzeba znać osoby, którą masz przed sobą: ty prosisz tę osobę o wszystko, bo prosisz o jedną tylko rzecz, rzecz, którą ci może dać jedynie Bóg – prosisz o przebaczenie. Tam właśnie spostrzegłam, do jakiego stopnia tego właśnie mi porzeka, jak bardzo potrzebuję kogoś, kto mi naprawdę przebaczy, kto mi w oczy spojrzy i wypowie zdanie, które słyszymy po każdej Spowiedzi: „twoje grzechy są ci odpuszczone”. Ja się tym coraz bardziej wzruszam, bo ciśnie mi się na usta: znowu! Jeszcze raz mi przebaczyłeś! I, zastanawiając się nad weryfikacją, do której nas zapraszał ksiądz Carrón, po raz pierwszy tak jasno przyszedł mi do głowy ewangeliczny epizod, kiedy to Jezus mówi: „odpuszczone są ci wszystkie twoje grzechy”, a faryzeusze szemrali: „jakim prawem to czynisz? I kto Ci dał tę władzę?”. Któż może powiedzieć drugiemu: odpuszczone są ci wszystkie twoje grzechy?*

Ale wszyscy, którzy tamtego dnia poszli wypowiadać się do tego samego księdza, podług ciebie, tego samego doświadczyli? Nawet jeśli nie jest nam dane to wiedzieć, myślę, że byłoby logicznie słuszne coś o tym się dowiedzieć.

*Chyba nie.*

A więc nie w tym jest autorytet. Tym, co nas popycha, aby pójść do księdza i się wyspowiadać, jest coś, co się wydarzyło i nadal się wydarza w naszym życiu na sposób tak przekonujący, że stało się do tego stopnia konieczne dla naszej egzystencji, iż, gdy tylko o tym zapominamy, odczuwamy różnicę, jakość życia się zmienia. Jeśli istnieje jakiś powód, dla którego się poruszamy, jakaś przyczyna zrozumienia głębi Spowiedzi i autorytetu, którym jest ten ksiądz, to może nią być tylko fakt – coś, co wydarzyło się w naszym życiu. W przeciwnym razie tam, przed konfesjonałem, byśmy się nie znaleźli. I nie tylko. Również sposób, w jaki opisałaś twoje przeżycie Spowiedzi, przeżycie przebaczenia – i moglibyśmy dalej o tym mówić, bo właśnie Szkoła Wspólnoty wręcz wiąże kwestię przebaczenia z istnieniem ludu – nawet by się nam nie przyśnił. Żeby jeszcze lepiej zrozumieć: autorytet zawiera się w owym spotkaniu, którego weryfikacją jest fakt, że możemy się rozmyślać w Spowiedzi, co więcej, zakochać się w Kościele, zawiera się w spotkaniu, którego weryfikacją jest coraz bliższe przylgnięcie do tego, co Chrystus ustanowił jako obiektywne, jako Jego Obecność. Pewny jestem, że wszyscy inni, którzy wraz z tobą w kolejce czekali na Spowiedź, odmiennie ją przeżyli. Mam nadzieję, że ją przeżyli na inną nutę, że jeszcze coś innego ich uderzyło.

*Drugi epizod jeszcze bardziej mnie zaskoczył. Od marca ubiegłego roku pracuję w domu, przy komputerze, często biorę udział w spotkaniach, w związku z tym mam słuchawki i nie dochodzi do mnie to, co dzieje się naokoło. Ale w jedno piątkowe popołudnie jakimś cudem nie miałam żadnego spotkania. Był drugi piątek Wielkiego Postu. Żle mi się pracowało. Nieuważna, nie byłam w stanie się skupić. Posłyszałam głos dzwonów. Spojrzałam na zegarek: była trzecia po południu. I wtedy sobie przypomniałam. Ten fakt mnie przebudził, na tym punkcie zogniskowałam moją świadomość w owym dniu, zatrzymałam się, odmówiłam 'Anioł Pański' i wróciłam do pracy z odnowioną uwagą. Powiedziałam sobie: cóż ja takiego w życiu napotkałam, że mi pozwala na podobne przebudzenie i na odmianę świadomości jedynie dlatego, że mam w pamięci znaczenie tego dźwięku? Otóż, domyślam się, od chwili, gdy mamy możliwość pójścia za kimś, kto nam wskazuje drogę, sama rzeczywistość może stać się autorytetem. Nie jest koniecznym ciągle spotykanie się między nami – jakkolwiek i to jest potrzebne -, lecz możemy dostrzec Jego Obecność w otaczającej nas rzeczywistości, o ile choć odrobinę jesteśmy do tego skłonni. Chciałam ci przeczytać dwie linie, które znalazłam w „Ja odradza się w spotkaniu” księdza Giussaniego. Mówi tak: „Autorytet to obecność, z którą, gdy się zderzysz, stajesz się bardziej sobą, tak bardziej sobą, jak nigdy byś nie przypuścił”. Nie jestem pewna, czy umiem połączyć to wszystko, co powiedziałam. Ale pojmuję, że te rzeczy się łączą.*

Pozostawmy te kwestie otwarte. Rzeczywistość, autorytet: być może lepiej to zrozumiemy z dalszych wystąpień. Aby nie wzlatywać gdzieś na teoretyczne poziomy tylko po to, aby starać się logicznie powiązać pojęcia.

*W ostatnich latach byłam uczuciowo związana z pewnym mężczyzną. Kochałam go, nienawidziłam, uciekałam od niego, uwielbiałam go, ale też byłam u jego boku najczystsza kobietą na świecie. A jednak, jak to powiedział Eliot, 'nigdy drogi nie opuszczając'. Z powodu okoliczności związanych ze szczepionką anty covid, ten mężczyzna pojawił się znów w moim życiu kilka tygodni temu. Zapytałam się naszego Pana: ale przecież, tego człowieka, czyś Ty już go nie zbawił? Dlaczego ponawia się ta sama okoliczność? Zaczęłam prosić Pana Naszego, aby mi powiedział, dlaczego to mi się zdarza; i aby to stało się dla mnie jasne. Zaszła ogromna nowość w moim życiu: zdałam sobie sprawę, że to oblicze wypychało mnie z domu Ojca. Na domiar tego, teraz, coraz bardziej uświadamiam sobie, że dużo wcześniej od owej chwili, gdy ten człowiek pojawił się w moim życiu, ja już żyłam daleko od domu Ojca. Trwoniłam Łaskę, sądząc, że żyję w murach domu Ojca. I obecność tej twarzy była, za każdym razem, przeogromnym miłosierdziem*

*Pana, który mnie budził z mojego formalizmu. Bo ja wszystko robiłam sądząc, że byłam w Jego domu. To była pierwsza porcja miłosierdzia. A druga to, że ja akceptuję fakt, iż ta osoba robi na mnie takie wrażenie, ogromne, niepojęte. Bo pociąga mnie nie tyle jego aspekt fizyczny, nie tyle wiek. Całe moje ja zdaje się magnesem przez niego przyciąganym. Krocząc za księdzem Carrónem, który napomina, by nie uciekać, by nie upadać, zatrzymałam się z tą osobą godzinę w moim ogrodzie, prosząc Świętego Michała Archaniola, by był tutaj obecny. Po raz pierwszy w tych dziesięciu latach mogłam posłuchać mojego serca, które mi mówiło: tracisz tak wiele energii w tej relacji. I, będąc posłuszna memu sercu, urwałam kontakty z tym mężczyzną; ale teraz w inny zupełnie sposób, bo ogarnął mnie wielki pokój. Trzecią sprawą jest fakt, że ja sądziłam, iż już wszystko w porządku, wszystko na swoim miejscu. A Szkoła Wspólnoty mi mówi, że jestem stworzona, jestem pomyślana w taki sposób, że mogę kochać najmniejszą okruszynę prawdy obecną w jakimkolwiek człowieku, z pozycji pozytywnej i ze zdolnością krytyczną, o jakich świat nie ma pojęcia. Kiedy mówi o świecie, mówi o mnie. Ja odkryłam, dzięki temu zdaniu, że w relacji z tym mężczyzną jestem faryzeuszką, bo od zawsze myślałam, że jestem lepsza od niego, że on jest tą złą stroną. A Pan pchnął mnie w dalszą drogę. Zdaję sobie sprawę, że żąda się ode mnie pracy. I mogę już zauważyć, jak ta praca mnie wciągnęła w rzeczywistość, jak stałam się żądna rzeczywistości, jak pragnę stawić jej czoła. Boża Opatrzność to właśnie dla mnie przewidziała. Teraz jestem w to wplątana, jestem wewnątrz tej sytuacji, poprzez tę okoliczność zdaję sobie sprawę, że właśnie ta twarz, którą tak znienawidziłam, okazała się największym gestem Miłosierdzia wobec mojego życia. Nie tylko nienawidziłam!... Jestem bardzo szczęśliwa i wdzięczna, że znalazłam się w tym charyzmacie. Bo tylko w tym charyzmacie mogłam odkryć tak wiele rzeczy o mnie samej, bez jakichś wątpliwości, czy nie są one czasem moralizmem.*

Gdyby nie była tak daleko, uściskałbym ją. Z tego, co opowiadasz, robi na mnie ogromne wrażenie do jakiego stopnia Pan nie boi się wszystkiego zaryzykować po to, abyś nie pozostała poza domem łudząc się, że w domu jesteś. To, do jakiego stopnia Pan jest gotów zaryzykować, jest miarą ważkości dla Niego tej kwestii. Bo nikt z nas by tyle nie zaryzykował. Co więcej. Nie powiedziałbym, że nie musimy walczyć z całym naszym moralizmem w obliczu osoby z Bractwa Świętego Józefa, która nam opowiada taką swoją historię. I ta walka, jak też nasza możliwa na tę historię reakcja, pozwala nam jeszcze lepiej zrozumieć, jak Pan, zamiast pozostawiać nas w naszym formalizmie, stawia wszystko na jedną kartę. Ponieważ zakochać się to nie jest sytuacja, którą ktoś umyślnie powoduje, czy jej szuka: to jest coś, co się wydarzyło. Bo to Pan pozwala lub sprawia, że się wydarza. '...No, coś takiego! Ja, która jestem w Bractwie Świętego Józefa, ja, która jestem oddana dziewictwu, ja, która już ostatecznie zamknęłam sprawę z tego punktu widzenia, ja, w moim wieku, która po historiach, jakie miałam, osiągnęłam pokój zmysłów i jestem całkowicie poświęcona dziewictwu..., takie coś mi się zdarza!?...'. Zobaczcie, co Pan jest gotowy zaryzykować! Bo to jest ryzyko! Nietrudno zrozumieć, że to jest ryzyko ogromne! Ale co to oznacza? Że stawka jest nieporównanie większa, dla Pana. Ponieważ bez twojej wolności, inaczej, bez twojego TAK, nic Go nie obchodzi, że ty tu jesteś, w Bractwie Świętego Józefa, w Kościele, w Ruchu. Nie ma ciebie. I to odnosi się do wszystkich powołań. Stąd, nieskończenie ci dziękuję, że podzieliłaś się z nami tym opowiadaniem, właśnie dlatego, że opisuje również kroki zgorszenia sobą, słabości... Wiem, ile cię to kosztowało stanąć choćby przed przyjaciółmi z podobną historią. Ale tym, co mi dech w piersi zapiera, jest fakt, iż Pan jest taki pewny naszego serca, jest taki pewny tego, co sprawił, pewny tego, że nam się wydarzył, jest taki pewny, że nas powołał do dziewictwa, pewny, że ma przed sobą synów i córki, których On stwarza, z sercem, które On nam daje..., tak pewny, że stawia na kartę naszej wolności i nie lęka się, że ktoś mógłby nie zrozumieć drogi i sensu tej drogi. Jeśli to nie jest jasne, proszę was, bądźcie tacy kochani i uczciwie wypowiedzcie się na ten temat. To kwestia ogromnej wagi, jeśli chodzi o metodę, bo wskazuje nam na sposób patrzenia na drugiego, patrzenia na historię każdej osoby takiej, jaka naprawdę jest – patrzenia jako na Tajemnicę w dialogu z Bogiem. Każdy z nas jest wewnątrz jakiegoś głębokiego Tajemniczego Dialogu z Panem. A jeśli w taki sposób na siebie nie patrzymy, jeśli się tak nie wspomagamy, jeśli tak sobie nie towarzyszymy, to nie ma co gadać o wzajemnym

autorytecie! Wręcz przeciwnie! Autorytetem jest ten, kto umie patrzeć ze zdolnością krytycznego doceniania wszystkiego. Autorytet wychodzi z takiej waloryzującej pozycji; a nie odwrotnie, z pozycji uznającej tylko to, co ja uważam za słuszne i właściwe dla życia drugiego. Autorytet jest uważny na zrozumienie tego, co Pan mu ukazuje w życiu kogoś drugiego, innego ode mnie – ode mnie, który być może nie potrafiłbym być taki szczery, uczciwy i pokorny, aby dać się skorygować, wspomóc w jakiś odmienny od przewidzianego sposób. Ksiądz Giussani powtarzał zdanie dla mnie tak wstrząsające, tak dalekie ode mnie, że czuję opór przed samym jego przytoczeniem, ponieważ odczuwam je jako osąd mojej miernoty i małostkowości. Mówił, że Pan nierzadko dopuszcza, iż myli się ktoś bliski tobie, po to, by ciebie skorygować – ciebie, który byłbyś zbyt dumny, by bezpośrednio dać się skorygować. Rzeczy nie z tego świata!, jasne? Dlatego proszę was, zareagujcie, pytajcie, przedstawcie uwagi.

*Nie rozumiem na czym polega ryzyko, jakie Pan podejmuje względem nas. Czuję, że to jest ważny krok i nie chcę stracić tej okazji. Bóg jest taki pewny naszego serca, pewny spotkania, które się nam wydarzyło, że wybiera, iż przechodzimy również przez takie zgorzienie, które dla świata jest czymś normalnym, ale dla nas jest rzeczą gorszą – przechodzimy przez skandal zakochania się czy naszej słabości.*

Zakochanie się nie jest słabością. Zakochanie się jest rzeczą boską. Zakochanie się jest owym magnesem, który ona tak celnie opisała, a którym jesteśmy tak przyciągani, bo rozpoznajemy piękno, które może być tylko boskie. Jeśli by tak nie było, niezrozumiałym byłby fakt, że jesteśmy przezeń tak przyciągani, że nasze serce jest tak nim porwane, całkowicie opanowane. Jeśli zdarzyło się wam być zakochanymi, rozumiecie o co mi chodzi. Serce całkowicie pochwycone. W innych sytuacjach jest nam to dane po to, by rozpocząć powołaniową drogę prowadzącą do małżeństwa, do historii, gdzie wszystko stawiasz na tę jedną kartę. Do młodych ludzi, kiedy rozmawiamy o małżeństwie, mówię: widzicie, że tu jawi się jakaś dysproporcja, której inaczej nie możemy wytłumaczyć! Żeby nie wiem jak była piękna, jak była dzielna, jak nadzwyczajna kobieta, w którejś się zakochał, takie i inne podobne wartości nie mogą się równać temu wszystkiemu, co ty chcesz na tę kartę postawić. Całą swoją nadzieję pokładaną w życiu, teraz i w przyszłości, gotów jesteś postawić na jedną kartę, dla niej i z nią, jakbyś się chciał utwierdzić, chciał zagwarantować: 'ty dotrzymasz tej obietnicy szczęścia', którą we mnie wzbudziłaś. Oto co się zdarza, gdy dwoje zakochają się w sobie nawzajem. Potem w rozmowie zawsze dodają: spróbujcie odwrócić perspektywę i pomyślcie, że ta druga, ten drugi, również tak na was patrzy i się pyta: 'a ty, naprawdę podtrzymasz tę całą nadzieję szczęścia, pełni, zrealizowania, do końca mojego życia? Bo ja dla ciebie wszystko stawiam na jedną kartę'. Kto śmiałby odpowiedzieć: 'tak!'...? Każdy z nas wzięłby nogi za pas. Bo nietrudno by mu było zrozumieć, że tego przemożnego uroku, tej nadziei szczęścia i piękna, które drugiego porywają, nie będzie potem w stanie podtrzymać ni dotrzymać obietnicy. A więc, alternatywa. Albo to jest najgorsza iluzja, największe oszustwo historii; i często jest tak przeżywane. Albo jest w tym coś, co się nam wymyka. A rachunki zgadzają się, kwestia staje się jasna, dopiero i jedynie w Chrystusie. Oto sposób, w jaki Chrystus nas do Siebie wzywa w powołaniu małżeńskim. Innymi słowy, to On dopełnia tego piękna, dokonuje tego spełnienia, realizuje tę nadzieję szczęścia, jakie wzbudza w tobie poprzez obecność tej drugiej osoby, w której, ciągle On, spowodował, że się zakochałeś. Właściwie, można by się uśmiechnąć pod wąsem. A jednak, wyobraźmy sobie, że ktoś mówi: no tak, Panie, ja rozumiem, że drogą, którą mi dajesz, by dojść do Ciebie, jest ta kobieta. To Ty jesteś wypełnieniem mojego szczęścia. Lecz jak mam zrozumieć, kto jest ową kobietą, którą masz dla mnie w darze? Oto ona, tutaj!, mówi Bóg. Daj sobie powiedzieć: to pytanie jest ostatnim z twoich problemów. Bo to Ja, Piękny, objawiam się w tej kobiecie. I ty Mnie natychmiast rozpoznasz: oto co się wydarza, kiedy się ktoś zakocha. No, a teraz pytanie: a dlaczego to się zdarza w sytuacji, gdy ktoś już żyje w definitywnym stanie dziewictwa? Dlaczego mi każesz przeżywać takie magnetyczne przyciąganie, które dla nas wszystkich jest tak potężne? Zależnie od historii każdego z nas, zależnie od porcji moralizmu w każdym z nas, a i może, powiedziałbym, dzięki Łasce życia w Ruchu, budzi się w nas w takim

momencie, może się wzbudzić, nagła myśl: w jaki sposób mam się ratować? To diabeł, ten człowiek odrywa mnie od Boga! Więc usiłuję się temu oprzeć. Usiłuję to sdusić. Już się nie zobaczymy! Rozwiązaliśmy w ten sposób problem. Odcinam się. Owo „odcinam się” ma zależeć od twojej siły woli. A to tak, jakbyś sobie odciął rękę. I jest to rzeczywiście cenzura kawałka siebie, odcięcie części twego człowieczeństwa. Łudząc się, że „oko nie widzi, więc serce nie boli”. Ale to jest iluzja, i nasze człowieczeństwo drogo za to płaci. Co znaczy, że tłumimy całą naszą uczuciowość. Wapnem gaszonym zalewam każdy odruch uczuć, bo muszę się oprzeć, muszę stać się możliwie jak najbardziej zimny, lodowaty wobec tego wszystkiego. Inaczej jestem stracony. Najdłużsi z nas stażem przypominają sobie być może historię „Małego Pan Friedmanna”. Ksiądz Giussani cytował często tę postać – tego garbatego człowieka, który przez całe życie budował sobie barierę, aby nigdy się nie zakochać, aby nie upaść, 'bo, ponieważ jestem taki szpetny,...'. Aż, któregoś wieczoru, starczyły perfumy pewnej kobiety, i runął jak piorunem rażony. To wszystko, co skonstruował w całym swym życiu, zawaliło się: pada na kolana i się oświadcza. Ona, szydząc z niego, oddała się. A on osuwa się na ziemię i umiera tonąc w kałuży. Umieramy. Symbolicznie, oczywiście. Ta próba odcięcia się, amputacji, jest nieludzka. A jednak wydaje się nam czasami, że to jedyne wyjście w historii podobnej do takiej, jaką nam opowiedziała nasza przyjaciółka. Lub też wytrzymuję do pokąd daję radę. W końcu się poddaję. W rezultacie, bitwa nadal się toczy. Raz na wozie, raz pod wozem. Gdy się zbliżam, wpadam. Gdy się oddalam, zamieniam się w „starą pannę”, „starego kawalera”... Innej drogi nie ma? Jest! I jest nią dokładnie twoje powołanie. A nazywa się ono dziewictwo. Namiętna miłość dla przeznaczenia tego drugiego człowieka, w formie posiadania, która ma w sobie, jak mówi ksiądz Giussani, jeden krok wstecz. Innymi słowy, nareszcie Pan mówi: teraz robimy krok do przodu w dziewictwie. Ponieważ dotąd, być może, tyś kochała dziewiczo człowieczeństwo drugiej osoby. A teraz dam ci gorąco umiłować prawdziwe przeznaczenie tego drugiego, tej drugiej. Teraz, wybaczcie mi, przez moment odegram rolę Pana Boga. „Ja wiem ile ty ryzykujesz. Wiem, jak krucha jesteś. Ja znam to niebezpieczeństwo. Ale, właśnie abyś nie zrezygnowała z życia w dziewictwie, czy też byś nie myślała, że żyjesz dziewiczo, choć w rzeczywistości tak nie żyjesz, lub też byś nie była tutaj tylko formalnie, niby w puszcze z konserwami, bez pragnień, zapалу i miłości do czego i kogokolwiek - choć Ja ciebie stworzyłem do bycia szczęśliwą -, wolę raczej zaryzykować i dać ci odczuć pełnię pragnienia miłości, i abyś to pragnienia przeżywała na sposób dziewiczy. Wiem, ryzykuję. Ale jeszcze większym ryzykiem było by pozostawienie ciebie tutaj zgaszoną, cierpką niczym starszy brat marnotrawnego syna, który w domu pozostał, ale z sercem gdzieś indziej i przesyconym złością”. Stąd też wam powiadam: oto do jakiego stopnia Pan jest zdolny zaryzykować, aby nas wykurzyć z jamy formalizmu i oschłości, otrząsnąć z banalnych automatyzmów. I jestem pewny, że od tamtej chwili, z ową walką, którą nam opowiedziała, i która trwała przez lata, teraz każdy jej krok jest błaganiem zwróconym do Pana. Zupełnie coś innego niż powrót do dawnych uczuć! Ale ktoś może też pozostać nieszczerzy, nieuczciwy z samym, samą sobą. I ile razy to się zdarza, właśnie wśród nas. Nie być uczciwym oznacza: nie chcę stawać do takiej walki, nie chcę żyć dziewiczą miłością do drugiego człowieka. Nie być szczerym oznacza też: jestem w stanie się odciąć, już nigdy go nie zobaczyć. Lecz istnieje i inny świat: odejść, właśnie z miłości do niego. Dla jego dobra, dla mojego szczęścia i szczęścia drugiego. Nie dlatego, że lękam się pokusy i mojej słabości. Lecz aby potwierdzić pełnię, którą żyję, której pragnę, o którą proszę. I aby również on mógł znaleźć swoją drogę, by nie zaplątał się za mną w pułapkę. Z miłości do niego nie odpowiadam na SMS-a, na telefon. Z miłości, która wiele łączy nieraz kosztuje. Ale to, doprawdy, jest dziewictwo. To inny świat. Gwarantuję wam, że z twarzy nietrudno jest odczytać różnicę między „starą panną” a dziewicą. Na sto metrów to jest jasne jak słońce.

*I mnie ogromnie uderzyło naleganie co do metody, co do porównywania wewnątrz doświadczenia. Bo właśnie w doświadczeniu mogę zdać sobie sprawę, co dla mnie jest autorytetem. Dużo na ten temat myślałam. Bez wahania mówię: tak, jest Papież, jest ksiądz Carrón, jest ksiądz Michele; i to jest słuszne. Poza tym, naleganie na temat serca sprawiło, że powiedziałam sobie, iż, w gruncie rzeczy, warto być w Ruchu od tylu lat. Kroczysz po śladach nadzwyczajnych ludzi, uczysz się*

spojrzenia na rzeczywistość, przeżywasz pandemię, słyszysz słowa, których nikt w Kościele i w świecie ci dotąd nie powiedział. To się opłaca. Można nawet stwierdzić, że jest to opłacalne dla praktycznego życia na codzień. Ale, szczerze mówiąc, opłacalność mi nie starczy. Trzy tygodnie temu zdarzyło się, że w Towarzystwie Działa Społecznych [Compagnia delle Opere Sociali] poproszono mnie, bym opowiedziała coś o mojej tam pracy. Zasadniczo z perspektywy organizacyjnej; nie tyle jako świadectwo o doświadczeniach z młodzieżą. A ja, tak naprawdę, opowiedziałam o wielkiej drodze, którą przebyłam, ponieważ jestem wewnątrz tej historii – Towarzystwa Działa [CdO]. I jak jest opłacalnym iść za tym.

Potem przyszedł list apostolski o Świętym Józefie „Patris Corde”. To wzruszające. Wstrząsnął mną trzeci punkt, zatytułowany ‘Ojciec posłuszeństwa’. Papież Franciszek z mocą i wielokrotnie podkreśla fakt, że Święty Józef jest posłuszny od razu. Ojciec Święty mówi, że odpowiedź Świętego Józefa była natychmiastowa, nie ociągał się z nią, nie zadawał pytań, nie czekał. Tu chodzi o posłuszeństwo bezwzględne, bez wahań. I zdaje mi się, że to samo się zdarza, gdy się zakochujemy. Podam przykład, który mi pomógł uczynić to jaśniejszym. Muszę powiedzieć, że jest to oczywiste w kontekście: jak wewnątrz zakochania jest się posłusznym. To nie jest coś, co trzeba zrobić. Jak widać, Józef jest natychmiast posłuszny, również Maryja natychmiast wypowiada Swoje TAK, nie wiedząc, co z tego wyniknie. A więc, opłacalność jest konsekwencją głębokiego przyłgnięcia do metody, owocem posłuszeństwa. A nie motorem, racją, źródłem twojego posłuszeństwa. I tu przykład, który mi to pozwolił zrozumieć. Zdarzyło się to jakieś dziesięć dni temu, tu, w Rumunii. Na końcu Szkoły Wspólnoty, jedna z nas, dość młoda Włoszka, która niedawno do nas dołączyła, powiedziała, że jest sporo problemów z tegoroczną Drogą Krzyżową. Nie dano rady jej zorganizować. Toteż, kto zechciałby wraz z nią ją zrealizować, niech zatelefonuje, by jakoś w krótkim czasie postawić coś na nogi. A ja natychmiast powiedziałam TAK, bez zastanowienia. A dlaczego powiedziałam TAK? Dlatego, że Droga Krzyżowa, tak jak my ją przeżywamy, była dla mnie zawsze ogromnym doświadczeniem – doświadczeniem Wydarzenia. I w tym momencie nie myślałam wcale, że to wyszło od kogoś, kto ostatni do nas dołączył. To mi wypłynęło z serca. Tak właśnie to widzę: posłuszeństwo wiąże się z zakochaniem; nie jest czymś, do czego jesteś zmuszony, dlatego, że to ci się opłaca. Gdy jesteś wewnątrz tej wielkiej miłości, z czasem posłuszeństwo okazuje się w końcu pożyteczne, opłacalne.

Doskonale. Zgadza się z tym. Kiedy Chrystus zwraca się z pytaniem do Piotra, odpowiedź Piotra brzmi: „Panie, dokąd pójdziemy? Tylko Ty masz słowa życia wiecznego”. Tylko Ty masz słowa, które życie tłumaczą. Pewnie, jest w tym i jakaś opłacalność. Ale Piotr odpowiedź czerpie głębiej - z owej więzi, z miłości, z historii, która mu się wryła w pamięć, z tego, co się pomiędzy nimi wydarzyło, poznane i uznane. Właśnie i głównie dlatego. Aby słowo ‘zakochanie’ nie posiadało w nas nieporozumienia, wrażenia jakiegoś nieokreślonego sentymentu, podkreślam: z tego, co się pomiędzy nimi wydarzyło, poznane i uznane. A pożytek jest tego weryfikacją. Jest stanowczym tego potwierdzeniem. Kobieta nie wiąże się z mężczyzną – mam nadzieję – dla róż, które jej posyła, dla jakiegoś pożytku. Ale, ilekroć te róże otrzymuje, ma potwierdzenie jego uczuć, i to ich związek pogłębia. Posłuszeństwo zakwita na tym związku. Ja wolę słowo ‘zakochanie’. Dygresja była jedynie po to, by nie pomylić go z ‘zadurzeniem się’. Nie ‘oczarowanie’; lecz owoc tego, co się pomiędzy nami wydarzyło. A tym, co się pomiędzy nami zdarzyło, jest fakt: Tyś mnie wybrał. Chcesz mnie, pragniesz mnie, wymyśliłeś mnie, stworzyłeś, nadal mnie stwarzasz, nadal mnie chcesz. I nie tylko. Rzekłeś do mnie: Ja ciebie pragnę na sposób szczególny, abys doświadczył tego, czego Ja doświadczyłem i doświadczam stając się ciałem, abys doświadczył miłości całkowicie bezinteresownej, jaką jest dziewictwo, dla dobra wszystkich. Oto co się wśród nas wydarzyło. Gdy ktoś staje się świadomy tego, wtedy mówi: ‘Dokąd mam iść? Żeby mnie zabili, tego nie chcę stracić! Powiedz mi, co mam zrobić, a ja przyjdę i zrobię’. Taki Święty Józef mi się podoba! Bo nieraz się wydaje, że Święty Józef, i w ogóle Święci, to ludzie, którzy kalkulują: ‘To jest mój obowiązek, a tamto nie jest obowiązkiem, fifty fifty..., w porządku; no i heroicznie wybieram to, czego żąda Bóg’. Natomiast to zupełnie coś innego: wybieram, bo jestem zafascynowany.

Fascynacja, której się można oprzeć... Ale to w tej więzi, wewnątrz tej historii, Pan pozwala mi stawiać kolejne kroki.

*Przyznam się, że na ubiegłoroczne Spotkanie Pytań z księdzem Carrónem wcale się nie przygotowałam. Pracuję w szkolnym sekretariacie, muszę zadbać o wielu uczniów. Ubiegły rok był nadzwyczaj trudny dla wszystkich, z powodu pandemii. Wszystkim nam praca bardzo źle szła. Ponadto Ministerstwo Edukacji dodatkowo pokomplikowało ogromnie naszą pracę. Więc sobie powiedziałam: nie zabiorę głosu; jak ja mogę sobie rościć prawo do bycia jakimś autorytetem? A jednak, w miarę, jak słuchałam wystąpień przyjaciół, zaczęłam sobie zdawać sprawę, że istnieje pewien aspekt autorytetu, którego nigdy nie uwzględniłam. Ksiądz Carrón z uporem obstawał przy kwestii, że autorytet jest wewnątrz rzeczywistości, że rzeczywistość jest autorytetem. Są takie osoby w Ministerstwie Edukacji, z którymi od dawna ściśle współpracuję. To Ministerstwo wdraża system informatyczny bezużyteczny, który komplikuje procedury przez żądania praktycznie uniemożliwiające wykonanie zadań w ustalonych terminach. Rzeczy o zawał przyprawiające! Dwa dni przed upływem terminu powiedziałam 'Przybądź, Duchu Święty' i zadzwoniłam do osoby, do której miałam przesłać te dokumenty. Tłumaczę wszystkie moje trudności i proszę go, by wyznaczył mi ostatni możliwy, piątkowy, termin. W przeciwnym razie nie dam rady tego przesłać. Ku memu zdumieniu, słyszę odpowiedź: 'jedynie dlatego, że to jesteś ty, bo cię znam i znam powagę, z jaką traktujesz swoją pracę, poczekam do przyszłej środy'. Oczywiście, niebo mi się otworzyło, z wdzięcznością zaniiosłam modlitwę do wszystkich Świętych! Od tego momentu zaczęłam do wszystkich drzwi pukać, szukając pomocy. Gdy ktoś mi odpowiadał, że nie może tego rozwiązać, pukałam do kogoś innego, dzwoniłam. W ten sposób zamknęliśmy robotę i zdołałam dostarczyć materiał w ustalonym terminie. Kiedy byliśmy bliscy mety, powiedziałam do koleżanki, drugiej sekretarki ze mną pracującej, że to niewiarygodne, że nie wiem, jak to się stało, iż wszystko skończyliśmy. A ona odrzekła, że podziwiała upór, z jakim się uczepiłam Boga przez ten cały czas. Słuchała, jak Go wzywałam na wsze sposoby: 'Przybądź, Panie Jezu, Synu Dawida, zmiłuj się nade mną, Matko Przedwiecznego Słowa, nie opuszczaj mnie, przyjdź, Panie, usiądź tu przy mnie'. „Przyzywałam Go na wszystkie możliwe sposoby. To było nie do pomyślenia, że mogłaby ciebie nie wysłuchać! Chciałabym mieć okruszynę twojej wiary, wiary, którą wy macie w waszym życiu”. No pewnie, to wszystko mówiłam; chaos przyprawiony cholerowaniem, po hiszpańsku, w guarani, po włosku!... Kiedy to wszystko do mnie doszło, otworzyłam oczy na fakt, że jedynie w rzeczywistości się uczymy i sobie wiele rzeczy uświadamiamy. Kiedy tak zaczęłam pukać tu i tam, spytałam samej siebie: 'A ja, gdzie się tego uczę? W Bractwie Świętego Józefa!'. Przez cały rok, co piętnaście dni, spotykamy się z przyjaciółmi. I to jest dla mnie coś w rodzaju piorunochronu. To w Bractwie Świętego Józefa uczę się pukać do wszystkich drzwi i nie stawiać sobie granic.*

Jedno pytanie: co tak zafrapowało twoją przyjaciółkę?

*Powiedziała mi, że przez cały czas widziała, jak oddawałam to wszystko Panu z uporem, z wytrwałością, która nie pozwoliła mi przez moment się poddać.*

A więc, to, co ją tak uderzyło, wydarzyło się przed szczęśliwym finałem historii.

My natomiast wielokrotnie ryzykujemy, oczekując szczęśliwego końca, by dopiero potem powiedzieć, że Pan się w to wdał. Podczas gdy ona nie potrzebowała czekać na wynik, by poznać i uznać, że Bóg był w akcji, że przed nią była jakaś odmienność. Bo przecież nie zawsze „historia dobrze się kończy”. Natomiast tym, co się wydarza - a my ryzykujemy, że tego nie zauważymy, podczas gdy to dostrzegają inni -, jest fakt jak ten przez ciebie opowiedziany i dostrzeżony przez koleżankę. Musimy uważać. Bo nasze oczy tego nie widzą. A w nas się wydarza. To dużo bardziej jeszcze przekonuje, niż gdyby finał był szczęśliwy. To wstrząsające. A my przechodzimy i nie widzimy. Co gorsza, gdy kończy się źle - źle to znaczy: gdyby ona nie zdążyła przesłać dokumentów -, wówczas czujemy się wręcz zdradzeni. Każdy z nas może to nałożyć na osobistą

dynamikę. Tymczasem twoja koleżanka nie musiała czekać na szczęśliwe zakończenie. Tu była jakaś odmienność, coś, czego nie można było wytłumaczyć. I to ją uderzyło. Nawt w chaosie ataków wściekłości i 'rzucania mięsem' w guarani. Tę odmienność mamy w sobie. Musimy się wspomagać, aby ją dostrzegać. To akurat to samo, jak gdy Jezus mówi: 'Wy się radujecie z powodu osiągniętego sukcesu, a nie dlatego, że wasze imiona są zapisane w Niebie', że wasze życie zostało porwane, zanim jeszcze dobrze się zakończy!

*Uderzyło mnie bardzo to, jak ksiądz Carrón nalegał na konieczność doświadczenia i weryfikacji. W ostatnim czasie spróbowałem zweryfikować to, co nam mówił. I zorientowałem się, że, kiedy ktoś jest uważny, niemożliwym jest nie dokonać weryfikacji; można tylko udawać, że tego nie robię. Człowiek udaje, że niczego nie weryfikuje. Ale widzi to, czuje. Również gdy ktoś, jak w moim przypadku, zachowuje niektóre elementy chrześcijaństwa, bo mu są potrzebne lub wygodne w danym momencie, co weryfikuje? Że w końcu jest niezadowolony. Jednocześnie, zaszły w moim życiu cuda, które mnie uradowały i wzbudziły wdzięczność za to, jak Tajemnica się mną posłużyła. Podam dwa przykłady. Pracuję jako psycholog. Niedawno zdarzyło się, że pewna osoba postanowiła odebrać sobie życie. Ten człowiek przyszedł do mnie. W nadzwyczaj krótkim czasie wrócił do życia, zmienił sposób myślenia, zmienił miejsce zamieszkania i wiele spraw dotyczących konkretnego życia. Poczuję się użyteczny. Poza tym, spotykam się z dziećmi – widzę dzieci, które nie umieją się bawić, psują wszystko w mgnieniu oka, niszczą przedmioty w moim pokoju. I te same dzieci, jak, po czasie, mogą się bawić jak wszystkie inne dzieci, pieszczą laleczkę... W sumie, rzeczy mało rzucające się w oczy. A potem, wbrew temu wszystkiemu, starczy mi niewiele - starczy, że zdarzy się coś, co nie zależę się w mojej głowie, dla mnie to koniec świata! Zaszywam się w kącie i nie wiem, jak się z tego wygrzebać. Tutaj wypływa na wierzch kwestia autorytetu. No i ksiądz Carrón przywołał nas do konieczności weryfikacji: weryfikacja, jest potrzebna czy nie? Ostatnio zacząłem telefonować do wielu osób, które, zauważyłem, w moim zawodzie są świetne, również niewierzących, aby w dialogu się skonfrontować. Poradziłem się też jednego z przyjaciół z Bractwa Świętego Józefa, który dużo dłużej ode mnie pracuje jako psycholog. Zauważyłem, że taki sposób postępowania sporą mi ulgę przynosi, podnosi na duchu. W podwójnym znaczeniu. Pierwsze: kiedy wydarza się coś, czego ja nie wymyśliłem, nie jest to już gigantyczny głaz, który wytacza mi się naprzeciw, ale otwierająca się droga, na której wychodzi mi naprzeciw coś nowego, odmiennego. Wewnątrz takiego dialogu, takich konfrontacji, nie ma tylko rzeczy, które jedynie mnie dotyczą, lecz coś dużo szerszego. Jest otwarcie, ktoś mnie teraz czyni, stwarza. Natomiast, gdy się zamykam, natychmiast wszystko przemienia się w przygnębienie. Drugie znaczenie: dodatkowa porcja radości w momentach radości. To znaczy, kiedy zdarzają się piękne rzeczy, jeszcze piękniejszym jest dzielenie się nimi. A więc, kwestia weryfikacji naszego doświadczenia, kwestia kroczenia śladami autorytetu, który nam drogę wskazuje, doprowadziła mnie do tego, że doceniam cuda. Od zawsze zauważałem cuda. Ale do niedawna zatrzymywałem się na kwiecie i mówiłem: jakie to piękne! A, w gruncie rzeczy, podobał mi się kwiat, i tyle. Podczas gdy ostatnio staje się on coraz bardziej znakiem, którym podzielić się z innymi.*

Jedna z tych wielu rzeczy, któreś poruszył, szczególnie mnie uderzyła. Podkreślam tę jedną, ponieważ mnie osobiście zaintrygowała. 'Nie wiem, się jak z tego wygrzebać'. Ciekawe. Bo to nieprawda, że my nie wiemy jak się wygrzebać. I to właśnie dzięki autorytetowi. Musimy jedynie zdecydować, aby się z tego wygrzebać. Jeszcze inaczej to ujmę. Jan i Andrzej, po tamtym dniu, znaleźli się w domu, zagrzebani w ich życiu rodzinnym, w trudnościach ich pracy, w ich codziennych zgryzotach, w tym wszystkim, co i nas napada. Lecz wiedzieli, jak się z tego wygrzebać: zabierali się i szli Go szukać, i wiedzieli, gdzie Go odnaleźć. Dokładnie to, coś ty zrobił. A to dlatego, że się coś wydarzyło. Gdyby uprzednio nic się nie zdarzyło, kogo byś szukał? Czy i gdzie miałbyś nadzieję coś, kogoś znaleźć? Dlaczego to mówię? Po to, by skończyć z nieporozumieniem: Pan niczego nadzwyczajnego nie musi wymyślać, aby nas z tego wygrzebywać. Czasem, owszem, coś specjalnego dla nas wykombinuje, zlituje się nad nami i



przyjdzie, aby nas wytropić i wypłoszyć z naszych jam i nor. Ale kiedy czujemy, że nic nie jesteśmy w stanie zrobić..., przecież mamy w sobie to, co się nam wydarzyło! Jan i Andrzej mieli to w sobie, i dlatego wiedzieli, gdzie trzeba było iść, aby Go odnaleźć. Rzeczywiście, jak to powiedział ksiądz Carrón, ktoś może się znaleźć w obliczu wyzwań, które stawia praca, w twoim wypadku w obliczu klęski, chwil trudnych, ale wstaje i rusza na poszukiwanie. Podnosi słuchawkę, nie waha się, robi to. I nie szuka kogokolwiek – szuka podług pewnych kryteriów, które są takie same jak te, które nam służą do weryfikacji. Szukamy, ważąc i odróżniając, co nam pomaga, a co nie. Szukamy właśnie tego, kto pomoże nam tak ustosunkować się do sprawy, że zaczynamy nareszcie oddychać, nawet w wirze problemów. I nie istnieje niebezpieczeństwo, że się pomylimy. Możemy słyszeć dwieście tysięcy porad, ale nie ma niebezpieczeństwa pomyłki. Ten Głos, Jego Głos, natychmiast rozpoznajemy: bo łapiemy oddech.

*Mam wrażenie, że wyjaśniły się lepiej dwie rzeczy, które powiedział ksiądz Carrón. Zaraz powiem jak. Ostatnio zdarza się, że zasypują mnie pytaniami dwie moje dawne uczennice. Kiedy słyszymy się przez telefon lub się widzimy, wciągają mnie w dialog na temat ich życia. Jedna z nich zrobiła sporą karierę, jest na wysokim stanowisku, i dyskutuje o problemach przeróżnych swoich wyborów. Druga rozmawia ze mną o problemach rodzinnych. Niemal za każdym razem drzę. Za młodu wspierała mnie szczypta pychy. Z biegiem lat jednak rośnie poczucie, że wiele rzeczy przerasta moje możliwości. Człowiek staje się realistą. Poczucie nieadekwatności się powiększa, gdy pogłębia się więź z drugą osobą. Rozmawiając z jedną z nich, zauważyłam we mnie pewną zmianę metody. Teraz, kiedy mówię, wychodzę z mojego doświadczenia, mówię jak sprawa wygląda z mojego punktu widzenia, w warunkach mojego życia. Pozostawiam kwestię i odpowiedź otwarte. Bo to ona, ta, którą mam przed sobą, jest zobowiązana zweryfikować. Dokładnie tak, jak my. Dlaczego twierdzę, że jest to zwrot, chyba o 360 stopni? Przede wszystkim dlatego, że zawsze wymagałam od siebie, by odpowiadać słusznie i w trafnej formie. A jednocześnie od rozmówcy wymagałam, by on zrobił dokładnie to, co z założenia było dla mnie ewidentne. A dlaczego? Bo bałam się, że go utracę, i usiłowałam go zawsze w jakiś sposób przekonać. Toteż, gdy usłyszałam księdza Carróna mówiącego: „Nie muszę niczego bronić. Mogę jedynie podzielić się z wami tym, co mnie jest potrzebne do życia”, doświadczyłam wyzwolenia! W pierwszym rzędzie wyzwolenia mojego. To mnie przynagliło do pracy. I posłużyło konfrontowaniu się z innymi.*

Wybacz. Właśnie na ten temat dwa słowa. Bo dla nas wszystkich jest jasne jak słońce, dlaczego my jesteśmy zdolni pokazywać drogę innym: ponieważ jest dla nas ewidentnym to, co jest dobre, słuszne, prawdziwe. A czego natomiast nie pojmujemy? Nie myślimy o drodze, którą przejść musieliśmy, żeby to stało się dla nas ewidentnym. To zapomnieliśmy. Nie jesteśmy świadomi, dlaczego teraz pewne rzeczy są dla nas ewidentne. Nie jesteśmy świadomi tego, co nam na to pozwoliło. To dokładnie, odwracając kwestię, chce nam podpowiedzieć ksiądz Carrón, gdy podkreśla: *‘niczego innego dać wam nie mogę, jak tylko moją drogę; po to, by stała się ona ewidentna też dla was.* Ponieważ to wpierv pociąga za sobą twoją wolność. I doświadczasz, że nic nie jest automatyczne, mechaniczne. Pokaże ci kroki, które ja poczyniłem. Byś, o ile chcesz, i ty mógł, mogła je poczynić. Po czym pogadamy i zobaczymy’. Niesamowita jest ta metoda. To jest metoda Pana Boga. Nie tyle jest ważna dla Niego twoja słuszna odpowiedź. Bardziej Go obchodzi, aby to była odpowiedź twoja. Boga obchodzi nie tyle, czy ty idziesz drogą słuszną, ile czy idziesz drogą swoją. Ponieważ słuszna odpowiedź, słuszna droga, słuszne rozwiązanie, bez ciebie na tej drodze nie są twoje. Ciebie nie ma. Na tę kartę On stawia wszystko. Wczoraj, podczas spotkania w Oropie, Franco Nembrini cytował nigdy dotąd nie słyszane zdanie księdza Giussaniego. W każdym razie, nie w tej formie. Nembrini opowiada, jak, lata wstecz, podczas spotkania z setkami rodziców, w pewnej chwili wstaje pewna kobieta i, płacząc, mówi: *‘moja córka poszła sobie z domu, żyje pod mostem, nie jestem już w stanie sprowadzić jej do domu, kompletnie się wykołęła, bierze narkotyki. Pan mi musi powiedzieć, gdzie jest granica - dopokąd mogę ją pozostawić wolną. Kiedy mam ją zatrzymać, a na ile mam ją pozostawić, pozwolić jej jeszcze ryzykować?’.* Nembrini nie był

pewny, co jej odpowiedzieć. Starsza siostrzyczka zakonna podnosi rękę i mówi: 'wie pani, ja też znalazłam się w podobnej sytuacji – mama jednej z moich uczennic o to samo mnie zapytała, i ja, wówczas młodziutka zakonnica, też nie wiedziałam, co odrzec. Podeszłam do niej i zaproponowałam jej: proszę pani, znam pewnego księdza, chce pani pójść ze mną i z nim pogadać? I zaprowadziłam ją do tego młodego księdza. A był nim Giussani. Ta mama opowiedziała mu, płacząc, historię swej córki. A ksiądz Giussani, wysłuchawszy, podniósł się, przytulił ją i rzekł: proszę pani, Bóg tak kocha naszą wolność, że jest w stanie znieść perspektywę, iż skończymy w piekle. A więc, granica jej, naszej wolności nie istnieje. Do tego stopnia kocha naszą wolność, że znosi możliwość pozostawienia nas w piekle'. To wstrząsające. Takiego punktu - granicy naszej wolności -, nie ma. To jest dramatyczna, ekstremalna synteza tego, co zawiera twoje opowiadanie. Centralnym punktem, najcenniejszą osią drugiej osoby jest jej droga oraz fakt, że na niej rozgrywa ona swą wolność. Jedynym sposobem, aby jej pomóc, jest postawienie wszystkiego na kartę naszej własnej drogi i stoczenie na niej naszej batalii osobistej wolności. I rzeczywiście, gdy tylko ksiądz Carrón to właśnie robi, nasze serce doznaje wyzwolenia. Bo objawia się perspektywa, a nie reguła.

*Mogę jeszcze coś dodać? W innym miejscu ksiądz Carrón mówi: nie istnieje żaden inny autorytet poza tym, że, gdzie i kiedy, Tajemnica czyni, że się wydarza. Dlatego, że właśnie tam i wówczas widzimy, że Chrystus zwycięża. Spostrzegłam, że to staje się jedynym kryterium uczuciowego przylgnięcia i cienia sobie towarzystwa i osób z mojej grupki. Właściwie to proste. Po wystąpieniu w poprzednim Spotkaniu Pytań, przyznam się wam, zaczęłam robić notatki podczas Spotkania grupki, aby utrwalić to, co objawiło się dla mnie autorytatywnie, i powracać do tego. To budzi moją wdzięczność po Spotkaniu, choćby było mniej czy bardziej koślawe. Bo kiedy odsłania mi się coś, co jest autorytetem dla mnie, wszystko jest OK.*

Doskonale. Ogromnie ci dziękuję za powyższy punkt. Syntetyczny, streszcza wszystko. Tego się od nas oczekuje: dać się dotknąć, pozwolić się zadziwić, poruszyć przez Tego, który się wydarza. Oto odpowiedzialność, do której każdy z was w swej grupce został powołany, do której ja w Bractwie Świętego Józefa zostałam powołana, do której każdy z was w miejscu, w którym Pan go postawił, jest wezwany. Odpowiedzialnym, autorytetem jest człowiek tak wrażliwy, tak nadzwyczaj uwrażliwiony na rozpoznanie i uznanie Tego, który się wydarza, że wszystkim Go wskazuje. Stąd, żadnych tu specjalnych zdolności nie trzeba. Trzeba jedynie ubóstwa. Im ktoś jest bardziej bezradny i w środku ubogi, tym bardziej baczny, gdzie się On wydarza. Im bardziej ktoś się czuje niezdolny, nie na wysokości zadania, tym łatwiej powie: popatrzcie na tamtego; to moje możliwości przewyższa. Właśnie owo 'popatrzcie na tamtego' jest zadaniem autorytetu. Dlatego, że on jako pierwszy został poruszony tym, co się dzieje. I, w rezultacie, pierwszy zauważa, rozpoznaje, uznaje i idzie za tym. Raz o tym mówiąc, innym razem nie mówiąc. Pójście za tym staje się wskazówką dla wszystkich. Dokładnie tak, jak robi ksiądz Carrón. Daje nam do dyspozycji, dzieli się drogą, którą sam kroczy, tym, na co sam patrzy. A to dzieje się w osobach o największej prostocie. Na ten temat, chcę wam przeczytać fragment jednej z lekcji księdza Giussaniego w ramach Weryfikacji, w którym on nam wyjaśnia, kiedy towarzystwo rzeczywiście jest autorytetem. Mówi: jest autorytetem, 'gdy uczy nas się modlić'. A w dalszym ciągu podaje drugie kryterium, szczególnie dla nas ważne:

*„Aby towarzystwo było rzeczywiście na drodze do Chrystusa, innymi ważnymi czynnikami są przenikliwość i wrażliwość, dzięki którym dajemy się do żywego poruszyć przez tych z towarzystwa, którzy dobitniej świadczą o swym poczuciu modlitwy i którzy całymi sobą dają przykład gorliwości wobec swego powołania. Dotąd co było dla was ważne? Chłopak, który na was patrzył, dziewczyna ubrana w jakiś szczególny sposób, czy też najważniejsza osobistość w szkolnym gronie, czy wreszcie osobistości z teatralnych i filmowych afiszy... Natomiast, odkąd żyjecie waszym powołaniem, ważne są dla was osoby, które potwierdzają, świadczą, że żyją tą drogą. To jest czynnik o ogromnej wadze. Symptomami wrażliwości wobec Chrystusa są uwaga, podziw, szacunek, naśladowanie ludzi, którzy, i jest to widoczne, we wspólnocie są głęboko*

*zaangażowani w swoje powołanie. Jedną z rzeczy, które z pewną goryczą zauważam, jest fakt, że ludzie, którzy są dla mnie przykładem, są niedostrzegalni, jakby nieobecni, dla wielu ich towarzyszy. Być poruszonymi przez dobry przykład, pójście za nim, oto znak, że w nas na serio coś się tworzy, buduje. Uważajcie. Ponieważ zbyt wiele osób, które tu widzę, odnosi się do własnego powołania, jakby to był jakiś abstrakcyjny aksjomat. [...] Nie ma gorszego błędu, gorszej niesprawiedliwości, niż bycie w grupce, gdzie jest osoba, może trochę bardziej nieśmiała od reszty, ale wrażliwa, prawa i szlachetna, uważna na to, co się mówi i na Pana, i nawet jej nie zauważyć. Podczas gdy bardzo poważa się tych, którzy mają jakąś rolę, 'głównodowodzących', dokładając się tym do wypaczania ich posługi. Jeśli ktoś jest szanowany i respektowany jako szef, popycha się go do zachowań szefa. Co to znaczy? Popycha się go do działania z nieczystych pobudek”.*

Zależało mi bardzo na powrocie do tamtego spostrzeżenia księdza Giussaniego wobec młodzieży. To jest istota odpowiedzialności. Nas interesuje ruszyć w drogę po śladach kogoś, kto, stwierdziliśmy, jest dobrem dla nas. Trzeba jednak wychowywać tego typu wrażliwość. Wychowywać naszą na to uwagę. A nie uwagę na kogoś, kto nam, być może, rację przyznaje. Ja to do siebie mówię.

Pomódlmy się razem słowami 'Memorare' i poprośmy Maryję o pomoc, podczas gdy wchodzimy w ten Wielki Tydzień. Nalegam, byście uczestniczyli w Triduum CLU [CL Studentów uniwersyteckich]. Wiercie mi, ta książeczka z tekstami i pieśniami jest książeczką 'świętą'. W znaczeniu, że księdzu Giussaniemu trzeba było lat, aby ją stworzyć. Opowiadał ksiądz Pino [Stefano Alberto], że przez lata, za każdym razem, gdy przygotowywano Drogę Krzyżową, ksiądz Giussani rozkładał na stole wszystkie teksty, fragmenty muzyczne, laudy, poezje, po czym wybierał. Aż któregoś roku orzekł: *'teraz jest doskonała; tak ma być'*. Odtąd niczego już nie zmieniono. Właśnie dlatego ta droga Triduum Paschalnego jest esencją charyzmatu. Więc przeżyjmy ją z Łaski, która nam jest dana.

*(tekst przez autora nie przejrany)*